

Mieszkałiśmy na Białostocczyźnie. Rodzice rozmawiali czasem o wywozkach, o tym jak strasznie dużo ludzi Rosjanie wywożą, masowo wywożą, na Syberię. Te wywozki były jeszcze w latach czterdziestych. Ale byłem dzieciakiem, wpadało mi coś do ucha i dalej biegiem gonić, nie interesując się tym wcale. Aż stało się to i z nami.

Wywozki robiono tak, jak Niemcy robili japanki, kocior. żeby się wcześniej nie rozniosło, żeby nikt nie uciekł i nie ukrył się, podstawiano wszystkie wozy jednocześnie pod domy, z których miano wywozić. Rano, kiedy jeszcze wszyscy spali.

I tak, któregoś ranka w czerwcu, o wschodzie słońca podjechał pod nasz dom samochód ciężarowy i kazano całej rodzinie spakować się. Mogliśmy wziąć ze sobą tyle, ile można było unieść. Załadowano wszystkich na samochód. Brano według listy. Mieszkająca z nami, moja najstarsza siostra, której mąż był w niewoli w Niemczech, też chciała jechać, ale jej nie wzięto, bo miała inne nazwisko i nie była na liście. Kto tę listę sporządzał i dlaczego my się na niej znaleźliśmy? Ojciec nie miał majątku, był robociarzem i do tego sezonowym, pracował wtedy, kiedy była robota. Dlaczego? Można tylko pomyśleć, że to dla wyniszczenia, dla przemieszania wszystkich. Takie mogą być domysły w tej chwili, bo wtedy to my nie rozumowaliśmy.

Wieziono nas 12 km do stacji Łapy, bo chociaż przez naszą miejscowość też przechodziła linia kolejowa, to w Łapach był punkt załadowywania do pociągu towarowego. Pociąg jeszcze nie był podstawiony, najpierw byliśmy za takimi drutami kolczastymi. Potem załadowano nas do pociągu. Kto do jakiego wagonu trafił; byli i po wapnie, my trafiliśmy do wagonu po węglu. Ładowano po tyle rodzin, ile dało się zmieścić. Również chorych. Wagony były zagrubowane, kratki (okienek) drutem kolczastym zawiązane, żeby nie można było nic podać ani wyrzucić, czy wyleźć.

Nasz transport był już ostatni. Słyszało się, że nie zdążą nas dowieźć, bo za Białymstokiem były już pierwsze bombardowania i ostrzeliwania niemieckie. A nasz transport musiał być olbrzymi, bo były aż trzy lokomotywy: na początku, w grodku i z tyłu. Gdy niemieckie samoloty nadlatywały, to obojętnie, na stacji, w lesie, czy w polu, transport się zatrzymywał, konwojenci kryli się, nas zostawiając nadlatującym samolotom. Niemcy rzucali bomby i ja do dziasiaj na lewe ucho źle (nie?) słyszę; myślę że od tego. Pamiętam, że ojciec mnie poduszką nakrywał. Bomby i karabiny maszynowe. Wagony podskakiwały do góry, bo bomby to z tej, to z tamtej strony padały, na szczęście nie trafiając w pociąg. Niemcy nie wiedzieli co to za transport. W pewnym momencie, z któregoś wagonu, przez okienko, na jakimś kiju wywieszono białą płachtę. Za to nas ukarano. Cały transport na tydzień czy dłużej, został pozbawiony wody. A to był czerwiec, może początek lipca. Wtedy z naszego wagonu zmarły trzy starsze osoby. Jeden był chory od samego początku, poróżono go przy drzwiach, przy szparze z powietrzem. Mogł mieć 40 czy 50 lat, trudno to mi było wtedy ocenić, zdawało mi się, że był stary. On szybko się wykonał. Po tym ukaraniu pociągu, wynoszono perno trupów, gdzie tylko pociąg się zatrzymał. Był też taki przypadek, że młody, może siedemnasto- czy szesnastoletni chłopak, podczas bombardowania chciał odkręcić śrubę, chyba żeby uciekać. Odkręcając, wysunął rękę, a stojący pewnie w pobliżu konwojent przebił mu dłoń bagnetem.

Otworzono wagony dopiero nad Wołgą. Nie wiem, jaka to była miejscowość. Było to chyba więcej niż po tygodniowej jeździe. Transport przecież wciąż się zatrzymywał z powodu nalotów. Czasem Niemcy przelatywali tuż nad wagonami, zaczepiając prawie końami o dach; nie strzelali, sprawdzali co pociąg wiezie. Ale nie wiadomo było, rzucają coś czy nie rzucają. Wszyscy liczyli, że nie dojedziemy,

rownież siostra, która została, oczekiwała, że nas lada dzień zbombardują, takie były naloty, zaczęła się normalna wojna. Poza postojami z powodu bombardowań, transport jechał cały czas, droga musiała więc być wolna. No i dojechalismy nad Wołgę. Wypuszczono na pół a może na godzinę dzieci, żeby mogły się rozruszać. Bylismy więc już poza terenem działań wojennych, bezpieczni.

Dojechalismy do miejscowości Tiument, a tam z kolei na barki. Dalej rzeką Irtysz, tam, gdzie się łączy z syberyjskim Tobołem. Dwie barki szczipione i holownik. Potem jedną barkę odszczipiono, miała płynąć dalej, a nas zostawiono w Tobole. Wyładowano nas do jakiegoś budynku, gdzie był taki ścisk, że mieściliśmy się tylko na stojąco. Był to pewnie jakiś rządowy budynek i tam trzeba było czekać na wydanie paszportów. I jeszcze paszportów nie wydano, ale w oczekiwaniu na nie już na drugi dzień zostalimy rozesłani do pracy do cegielni. Cała rodzina została spisana, ile osób itd. No i do czasu otrzymania paszportu, ojciec był zatrudniony w cegielni. Chodziliśmy tam pomagać ojcu - ja, moja starsza o dwa lata siostra i o następne dwa starszy brat. Dzięki temu ojciec dostawał talerz zupy więcej. Widzielismy tam czy to Rosjan, czy to jakichś przestępców, przykutych do ławek. Nie wiem, kim byli, czy to byli miejscowi. Przy mieszaniu gliny, zamiast konia, w kieracie chodzili ludzie. Nie wiem jak długo tam bylismy. Później rozesłano nas na kwatery. Dokwaterowano do rosyjskich rodzin, w tym Tobolsku. Zamieszkalismy u pewnego szewca. Ojciec często z nim rozmawiał. Ojciec potrafił porozumieć się po rosyjsku, przecież tyle lat Polska była pod tym zaborem.

Po otrzymaniu paszportu była możność pojscia, znalezienia sobie pracy, gdzie się chciało, byleby w obrębie obłasti, województwa, a więc w okolicach Tobolska. Był to dowolny wybór, bez żadnych skierowań. Ojciec nie chciał zostać w cegielni, gdzie praca była ciężka, a ojciec był chorowity. Zdecydował się na kołchoz, licząc, że tam łatwiej będzie zdobyć żywność.

No i wyemigrowalimy w poszukiwaniu nowego miejsca pracy. Zatrzymalimy się w kołchozie we wsi Kacipowa. Mielismy trochę szczęścia w nieszczęściu, bowiem przewodniczący kołchozu był z pochodzenia Polakiem, jeszcze z czasów rewolucji. Może by ojciec dalej szedł, bo tam nie było za dobrze, ale że był tu Polak, i choć ten Polak walczył o tę rewolucję, to zawsze swój. Chętnie nas przyjął, wieczorami przychodził na rozmowy z ojcem, co mogli to nam przynosić, chleb nieraz widziałem, pół bochenka, bochenek, ile mogli. Ojciec z matką pracowali w kołchozie, a także starszy, dwudziestoosmioletni brat, chory na serce. My, młodsi, też pracowalimy: ja miałem siedem lat, siostra dziewięć, brat miał chyba jedenaste. Taki stan nie trwa długo, bo naszego przewodniczącego wzięli na wojnę. Nastają nowi, miejscowi, nigdy go nie zapomnę, bo był taki jak esesmani, hitlerowcy, nienawidził Polaków, był uprzedzony. Zresztą w tym czasie traktowano nas jeszcze jako niewolników.

Jesienią zmarł ojciec. Praca tam była bardzo wycieńczająca. Początkowo był przydzielony do brygady wyrąbywania drzew. Był już śnieg, po pas, ojciec nie zdążył odskoczyć i gwałt czy coś innego zraniło mu nogę. Po tym wypadku ojca przydzielono do pracy w suszarni zboża. Suszarnia - to tak, jakby się było w piekarni. Przed paleniskami był dor, kładło się tam metrowe szczapy, robił się taki piaski piec i na tym piaskim piecu, pod którym się paliło, suszyło się zboże. Było to duże pomieszczenie, bo w całym tym budynku był tylko ten piec. W tamtym klimacie, gdzie lato jest krótkie, zboże na pniu nie dojrzeje, trzeba je dosuszać. Ojciec pracował tam bez zmiany, jeden - na okrągło, żeby zboża nie spalić, trzeba było je wciąż przewracać, mieszać, potem zsypywać do worków, następne wysypywać. Ojciec tylko wtedy się zdrzemnął, kiedy przychodziliśmy mu

pomoc, przypilnować, żeby się nie przypaliło. Trzeba je było przewracać grabiami, mieszać drewnianą łopatą. I w tym czasie ojciec mógł odpocząć. Nie wiem jak długo ta praca trwała, ale po pewnym czasie ojciec zachorował, bo już nie dawał rady. Nie wiem, jak długo leżał w tym pomieszczeniu, ale rano, kiedy się obudziliśmy, to już ojciec nie żył.

Po ojcu zmarł najstarszy brat. Chorował na serce, ale umarł z powodu biegunki. Trwało to tydzień, albo dwa. Brał różne zioła; lekarza tam nie było, leczono się domowymi sposobami.

Matka całą zimę chodziła do piłowania drzewa na kostki. Piłowało się takie pieniuszki, potem się je rąbało, bo to było potrzebne do traktorów, które były na parę czy na gaz drzewny. Zatrudniane przy tym były przeważnie kobiety. Ciężko było, trzeba było napiłować, narąbać, według wyliczonej normy i dopiero wtedy można było otrzymać kawałek chleba. Kto normy nie wyrobi, nie będzie jadł, sprawa była prosta. Nie było ciepłych ubrań, matka musiała się zgrzać i, jak sądziliśmy, zachorowała na zapalenie płuc. Leżała trzy dni, nie poszła do pracy. Przyszedł ten oprawca - przewodniczący kołchozu i zaczął matkę sycić z nar, ze siomy. Łózek nie mieliśmy. Wszystko lepsze, co zabraliśmy z domu ze sobą, i poduszki, i kołdry, wyprzedano się, żeby się ratować. Płaciano się w ten sposób za kartofle, czy kawałek chleba na postojach, czy od kołchozników. Kołchoznicy też nie mieli jedzenia, ale umieli już sobie radzić, kradnąc chleb. No i przewodniczący ściągając matkę, żeby szła do roboty, otworzył drzwi. Był mroź, matka była przy samych drzwiach. Złapałiśmy się we trojkę za matkę, wrzeszczeliśmy, nie daliśmy matki wyciągnąć na ten mroź. Zeszli się starzy kołchoznicy, zaczęli mu mówić, żeby zostawił. W końcu splunął, machnął ręką i odszedł. No, ale po trzech dniach matka zmarła. Nie było lekarza, ale i on by już w tym stadium choroby nie pomógł, wykończyło ją to mroźne powietrze. Przewodniczący nie chciał dać desek na trumnę. Powiedział, że Polaków można jak psy - do dołu. Dwunastoletni brat, razem z jednym starym kołchoznikiem w nocy, po cichu, zbili trumnę, ten Rosjanin trochę ją oczyścił, oheblował i matkę tam złożył.

I tak rodzice i brat zmarli do roku czasu. Zostaliśmy we trojkę sami. Zajęli się nami trochę starzy kołchoznicy mieszkający obok nas. Mieszkaliśmy na końcu wsi, w wolnym budynku - cztery ściany z okrągłaków, mchem pozatykane. I ci kołchoznicy powiedzieli nam, że niedaleko jest dom dziecka, i że trzeba nas tam przewieźć. Zbliżało się do wiosny, ale były jeszcze mrozy i śnieg. Przewodniczący w końcu się zlitował, dał konika, takiego trupa i starszy brat powoził nas saniami do domu dziecka, który znajdował się we wsi Bułaszo-

oddalonej od naszego kołchozu 12 czy 15 wiorst. Zmierzch zimą szybko się robił, były wilki, jechaliśmy jakby na pożarcie. Pamiętam, mieliśmy jeszcze jedną starą kołdrę, i my z siostrą leżeliśmy w siomie w saniach, a brat był przy koniu.

Dowioził nas i znowu mieliśmy troszkę szczęścia. Był to dom dziecka dla dzieci komunistów spod Leningradu, z Moskwy, którzy poszli na ochotnika na front, a dzieci zabezpieczyli na tyłach. Nie przyjmowano tam miejscowych dzieci. Kierowniczką tego domu była Polka, która brała udział w rewolucji. Przyjechała z tymi dziećmi z Leningradu. Przyjęła nas, ale tylko dwoje, na razie. Brat miał już za dużo lat. Kazala mu pojechać do naszego kołchozu, ale po pewnym czasie obiecała go przyjąć i zatrudnić jako pomoc. I faktycznie tak było. Może po miesiącu, albo dwóch, dołączył do nas, był w grupie starszych chłopców i pomagał w magazynie.

Mówiąc ogólnie, było nam tam dobrze, bo i jedzenie było i spanie. Nie wiem jak wyglądały inne domy dziecka. Nasz był nieduży, może inne były przepiękne. Wiejski dom dziecka, sale nieduże, dzieci niedużo. Śniadanie często składało się z 50 gramów chleba, dwóch ugotowanych w mundurkach kartoli i gorącego czaju, czyli wody

farbowanej mlekem. Dużo było ryb słodkowodnych, dzięki tym rybom przeżyliśmy i my. Gotowano zupy rybne, gotowano rybę, nie tak jak u nas. W porównaniu z kołchozem, gdzie nie było co jeść i jadło się obierki, tu było dobrze. Tam, kołchoźnicy, którzy nam podrzucali kawałek chleba czy trzy kartofle, nie dojadali sami, bo mieli wydzielone jedzenie. Pobrany z magazynu bochenek chleba, jeden na cały tydzień dla całej rodziny, musiał być podzielony. Dając nam kawałek, odejmował sobie od ust. Do tych prostych ludzi nie mam jakiegokolwiek żalu, pomagali nam jak mogli, ale ci, którzy byli na jakichś stanowiskach, tak jak ten przewodniczący, to już byli nie ludzie, to byli tacy sami oprawcy jak hitlerowcy.

W tym domu dziećka siedzieliśmy do końca. Po odparciu Niemców spod Leningradu, jak to sobie teraz wyobrażam, odjechał od nas transport dzieci do rodziców, którzy się już o nie upomnieli. Część, po którą nikt się jeszcze nie zgłosił, została. Z tym transportem odjechała nasza kierowniczką. Nastąpiła inna, miejscowa, która była wrogo nastawiona do Polaków. Pogorszyło nam się wówczas. My w tym czasie chodziliśmy do szkoły, ja do drugiej, siostra do trzeciej klasy. Przebywając tylko z rosyjskimi dziećmi, mówiliśmy tylko po rosyjsku. Języka polskiego prawie zapomnieliśmy.

Nasz starszy brat uciekł. Stało się to pewnie za namową rodzin ukraińskich, których tam było dużo. Oni brata namawiali, żeby dostać się do wojska polskiego. Sądzimy, że jeszcze do armii Andersa, ponieważ kierował się na Taszkent. Wybrał się z rosyjskim kolegą, który miał dziadka w Taszkencie. Mówiono bratu, że gdy dostanie się do armii i wróci do Polski, to będzie mógł zabrać rodzeństwo. Było to kiedyś w maju. Rano zauważono, że chłopców nie ma, zrobił się szum, poszukiwania, ale bez rezultatu. Chłopcy w nocy pozamieniali u kolegów buty na lepsze, bo wiosną były tam straszne roztopy. Zamienili też spodnie. Nie powiedzieli o planowanej ucieczce ani

słowa, nawet mnie. Brat zabrał ze sobą wszystkie nasze dokumenty, które miał przy sobie od śmierci rodziców. Z podróży przysłał jeden list. Ostrzegając w nim, żebym i ja tego grupstwa, co on, nie zrobił, żebym siedział do końca, aż on da znać. Ale więcej wiadomości od niego nie było, aż do dzisiejszego dnia. Być może były, ale do nas nie dotarły, bo nawet tego listu kierowniczką nie chciała nam dać. Wszystkie przychodzące tam listy odbierało kierownictwo, czytało i rozważało czy może nam dać, czy nie. O liście od brata dowiedziały się wychowawczynie siostry i pod nieobecność kierowniczką dały siostrze przeczytać. Nie wiadomo, czy udało mu się dostać do Taszkentu. My w to wątpimy, bo w tym czasie w tych okolicach panowały straszne chroby, na które nie było ratunku. Jeżeli dostać się do armii, to tam można się było uratować, bo były leki. Wątpimy, bo tyle lat już minęło i żadnych wiadomości od brata. Co prawda w okolicach Taszkentu jest jakaś kolonia, tylko że cicho o niej. Mogło też się zdarzyć, że w drodze złapano go jako uciekiniera, bo przekroczył granice swojego rejonu. Jeżeli trafił na dobrych milicjantów, to mogli go odesłać z powrotem, ale mogli też wsadzić do więzienia czy do łagru.

My wydostaliśmy się stamtąd dzięki trojkom, które powstały przy wojsku polskim. Te trojki chodziły i wyszukiwały polskie rodziny czy dzieci w domach dziećka. Do nas też przyszła taka trojka, ale kierowniczką powiedziała, że tu żadnych polskich dzieci nie ma. I znowu pomogła nam wychowawczynie siostry, młoda Rosjanka. Przyszła do siostry i powiedziała jej o tym. Siostra poszła do kierowniczką, ale usłyszała od niej, że jacy z nas Polacy, że my nawet po polsku nie umiemy mówić. Na razie na tym się skończyło. Ale kiedyś siostra poszła do mieszkającej w pobliżu rodziny ukraińskiej, która też była na zesłaniu, i tam jej powiedziano, że poszukujący dzieci Polacy zatrzymali się w jednej z okolicznych wsi, u jakiejś polskiej rodziny

i że powinna tam pojeść. Siostra wymknęła się z tego domu dziecka i poszła. Na miejscu nie zastała tej trojki, ale zatrzymano ją tam, bo za dwa czy trzy dni ci Polacy mieli wrócić. Doczekała się i opowiedziała naszą historię. Powiedziano jej: "już możecie być spokojni, kierowniczką otrzyma pismo i będzie musiała was, teraz sama, odtransportować do Tobolska, do domu dziecka polskiego." No i rzeczywiście tak się stało. Była zima, po nowym roku, kiedy nas odwieziono. Do Tobolska było chyba 50 czy 60 wiorst, to jechaliśmy samochodem cały dzień. Ja w drodze się aż rozchorowałem, bo benzyna śmierdziała, a kierowca wciąż utykał w zaspach. Dotarliśmy na sam wieczór. Było już późno, więc jadąca z nami wychowawczyni wzięła nas do swojej rodziny na nocleg, a do domu dziecka odstawiła nas następnego dnia. Byliśmy wreszcie na dobrej drodze, żeby wrócić do Polski. Gdyby nie to, pewnie już tam zostalibyśmy, bo kto by się nami zainteresował.

W polskim domu dziecka, wychowawcy Polacy kazali naszym kolegom nauczyć nas polskiego, żeby nie wieść Rosjanów do Polski, bo zupełnie zatraciliśmy polską mowę. Kazali nauczyć do maja, kiedy to miał ruszyć transport powrotny. Siostrę uczyły koleżanki, a mnie chłopcy. Dzieci się z tego wywiązały, nie reagowały, gdy odzywałem się po rosyjsku. Ten dom był prowadzony przez zesłańców. Jak się okazało, to w Tobolsku zatrzymać się inteligencja, ludzie wykształceni. Nie poszli do kołchozu, umieli inaczej żyć, dawali sobie radę. Handelek, może jakaś waluta, może jakieś złoto. Musieli mieć jakieś zasoby. Potem, gdy coraz więcej było umierających i zostawiali dzieci, to stworzyli dom dziecka. Ale było to już po pewnym odprężeniu i porozumieniu, kiedy zostało zniesione traktowanie Polaka na równi z Rosjaninem. Polacy przestali być niewolnikami.

Czekaliśmy do maja. Zimą przez rzekę jechało się samochodem po lodzie. A teraz trzeba było czekać, bo lody późno puszczają. Mostu nie było. Tobolsk leży w rozwidleniu rzek. Latem kursował prom. Dlatego czekało się na roztopę, na spłynięcie lodu. Gdzieś po piętnastym maja załadowano nas na barki i popłynęliśmy z powrotem do Tiumentia, do kolei. Tymi barkami płynęliśmy chyba 2 tygodnie. Potem załadunek do pociągu. Był to specjalnie przygotowany, bardzo duży transport, a wszystkie dzieci były sierotami. Nie wiem czy to prawda, ale słyszałem, że chcieli nas wieźć wagonami osobowymi. Ale kierownictwo transportu, Polacy, odmówili. Ze względu na bezpieczeństwo. W wagonach osobowych nie można upilnować takiej ilości dzieci. W wagonie towarowym łatwiej. Było lato, ciepło, jedne drzwi były zamknięte, a przy drugich, otwartych, była zrobiona barierka. Coś w rodzaju płotka. Wychowawcy, byli to też rodzice ze swoimi dziećmi, jako dorośli czuwali nad wszystkimi dziećmi. W oknach nie było już drutów kolczastych. Słyszano się jeszcze, że wagonami osobowymi mieli nas wieźć dlatego, żebyśmy pojechali przez Moskwę, gdzie Stalin miał wręczać sierotom jakieś podarki. Kierownictwo jednak odmówiło, motywując tym, że dzieci, które przeżyły, chcą uratować i dowieźć w całości. W tych wagonach towarowych były zrobione prycze, na nich po szóstoro dzieci spało. Ubikacja była zasłonięta. Gdy nas wieziono w tamtą stronę to była tylko dziura, nie zasłonięta, potem ludzie przescieradkami czy kocami zasłaniałi. Teraz też była dziura, ale przynajmniej obudowana. Wyżywienie to były konserwy i mleko w puszkach. Na stacjach był dawany gorący prowiant.

Do Polski przywieziono nas w lipcu 45 roku. Cały transport trafił w jedno miejsce, do Gostynina. To się nazywało Gostynin, ale od Gostynina byliśmy około 12 kilometrów w lesie, w barakach. Był tam niemiecki szpital wojskowy. Mnie od razu wzięto na badania z powodu mojego wyglądu - skóra i kości. Już z natury jestem szczupły.

Podejrzewano mnie o malarię, albo coś innego, ale byłem po prostu zamorzony.

Jeżeli ktoś miał rodzinę, to pisał się do rodziny. Jeżeli rodzina wyrażała zgodę na wzięcie dziecka i wychowywanie, to państwo chętnie oddawało. Pozbywało się kłopotu, bo i nie było miejsca po tych zniszczeniach i były koszty. Oddając dziecko, dawało rodzinie od czasu do czasu zapomogę. Nas zabierała siostra, która została w Polsce.

Z tą siostrą skontaktowaliśmy się wcześniej, będąc jeszcze w rosyjskim domu dziecka. Znowu ta sama wychowawczyni siostry namówiła ją do napisania listu, twierdząc, że jeżeli zawiadomimy kogoś bliskiego w Polsce, to ten ktoś będzie się starał nas stamtąd zabrać. No i siostra napisała. Nie pamiętała dobrze adresu, pomyliła poczty. List i adres był pisany po rosyjsku. Kartka złożona w trójkąt, kopert nie było. Dzisiaj listonosz wyrzuciłby to do kosza, ale wtedy, po takiej zawierusze, po przemieszaniu ludzi, list błądził po różnych pocztach, ale trafił w końcu do właściwej. Na naszej poczcie pracował stary naczelnik, który znał rodziców i wiedział, że byliśmy wywiezieni, i jak przeczytał, to zawiadził siostrę. Siostra nie umiała czytać po rusku, więc on to jej przeczytał. Kontakt już był. Siostra zaczęła radzić się, co ma zrobić, żeby nas do Polski sprowadzić, ale powiedziano jej, że to nie ona ma to załatwiać, że to musi wyjść z naszej strony, ze strony władz rosyjskich.